



HANNA WASILCZENKO-LUBICZ

Warszawa, 16 czerwca 1948 r. Członek Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, sędzia Halina Wereńko, przesłuchała niżej wymienioną w charakterze świadka, bez przysięgi. Upředzona o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, świadek zeznała, co następuje:

Imię i nazwisko	Hanna Wasilczenko-Lubicz z d. Chojnowska
Data urodzenia	15 maja 1918 r. w Kijowie
Imiona rodziców	Kazimierz i Natalia z d. Grafczyńska
Wyznanie	rzymskokatolickie
Przynależność państwowa i narodowość	polska
Wykształcenie	Szkoła Sztuk Zdobniczych Malarsko-Graficzna
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Prokuratorska 5 m. 1

Wybuch powstania warszawskiego zastał mnie wraz z mężem w mieszkaniu przy ul. Prokuratorskiej 5 w Warszawie. Mąż mój Jerzy Wasilczenko-Lubicz pracował w delegaturze rządu. W początkach powstania porozumiewał się telefonicznie ze swymi władzami.

Na naszym terenie powstanie rozpoczęło się 1 sierpnia 1944 roku o godzinie 17.00. Na ulicy Prokuratorskiej zgrupowania Niemców nie było. Oddziały przeciwlotnicze zajmowały Pola Mokotowskie, na ulicy Sędziowskiej znajdowała się niemiecka kuchnia wojskowa, na ulicy Suchej oddziały łączności, dalej zajęte były przez Niemców Filtry i Kraftfahrpark przy al. Niepodległości. Do 3 sierpnia widziałam, jak ulicą Prokuratorską do Wawelskiej (Pola Mokotowskiego), robiły wypadły grupy powstańców. Żołnierzy niemieckich na naszej ulicy nie widziałam. 5 sierpnia około godziny 13.00 od strony Pola Mokotowskiego przybył na naszą ulicę oddział Ukraińców. Byłam w siódmym miesiącu ciąży, schowałam się do upřednio

przygotowanej skrytki na drugim piętrze naszego domu. Mąż mój w tym czasie przychodził i wychodził ze skrytki. Później dowiedziałam się, iż Ukraińcy wtargnęli do domu numer 8 przy ul. Prokuratorskiej, gdzie zamordowali Marię Zadrowską, żonę adwokata, i jej córkę, Zofię Lorentowicz, w obecności 13-letniej służącej. Następnie Ukraińcy wpadli do naszego domu nr 5 i z mieszkania na parterze zabrali mego ojca inżyniera Kazimierza Chojnowskiego, siostry moje Irenę i Małgorzatę Chojnowskie, oraz sanitariuszkę AK przebywającą w mieszkaniu, której nazwiska nie znam. Otworzyła drzwi Ukraińcom matka moja Natalia Chojnowska, która następnie zdołała ukryć się w piwnicy (zmarła później w obozie w Ravensbrück). Ukraińcy razem z grupą zatrzymanych udali się na ulicę Jesionową 3 i z domu tego zabrali artystę dramatycznego Mariusza Maszyńskiego z żoną i ich służącą oraz chroniących się tam mieszkańców domu przy ulicy Jesionowej 1, inż. Tomorowicza z żoną. Skierowano ich na ulicę Wawelską, gdzie dołączono grupę osób z Wawelskiej. Razem było około stu osób. Moment wyprowadzania z domu przy ul. Jesionowej 3 i prowadzenie grupy ulicą Wawelską widział mój mąż z poddasza naszego domu. Ja, przebywając w skrytce na poddaszu, słyszałam tylko głos Maszyńskiego. Z grupy tej wszyscy zaginęli bez wieści.

W toku akcji ekshumacyjnej w 1945 roku, o ile mi wiadomo, zwłok ich nie znaleziono.

12 sierpnia 1944 około południa przybył do naszego domu oddział niemiecki (formacji nie rozróżniłam) i po kolei ze wszystkich mieszkań żołnierze wyprowadzili ludność cywilną. Kilka dni przedtem w Kolonii Staszica były zrzucone z samolotów niemieckich ulotki, by ludność cywilna, z białymi chusteczkami w ręku, opuszczała miasto. Ulotki takiej nie posiadam. Wyszliśmy z mężem i matką w grupie około 20 osób. Niemcy zaprowadzili nas na Zieleniak. Po drodze, zwłaszcza na ulicy Wawelskiej, Ukraińcy wałęsający się grupami ograbili nas, przy czym brutalnie rewidowali kobiety. Zatrzymali jedną, która dopiero po pół godzinie odnalazła grupę naszą na Zieleniak.

Na Zieleniak przebywałam tylko kilka godzin, było wtedy spokojnie, a nawet Ukrainiec rozdał nam po bochenku chleba. Uformowano transport, zaprowadzono nas na Dworzec Zachodni i przewieziono do obozu przejściowego w Pruszkowie, gdzie przebywałam kilka godzin. W czasie segregacji transportu trzymałam się kurczowo męża i matki.

Będąc w siódmym miesiącu ciąży, bałam się do tego przyznać, w obawie, iż jako niezdolną do pracy Niemcy mnie zamordują.

Odstawiono nas wszystkich troje do transportu przeznaczonego na wyjazd do Niemiec. Załadowano nas do wagonów towarowych zakrytych, po około 50 osób do każdego. Transport był duży, liczył kilka tysięcy osób, dokładnej liczby nie mogę podać.

12 sierpnia po południu transport odjechał. Następnego dnia przybyliśmy na stację koło obozu koncentracyjnego w Oranienburgu. Wyładowano nas i pomiędzy szpalerem żołnierzy z psami (formacji nie rozróżniłam) zaprowadzono nas do męskiego obozu koncentracyjnego w Oranienburgu. Odłączono od nas grupę ponad 500 kobiet z dziećmi, mówiąc, że idą do kąpieli. Więcej tej grupy nie widziałam, lecz mówiono potem, iż kobiety z dziećmi zabrano do obozu pracy, zatrudniając je przez *Arbeitsamt*. Oddzielono grupę ponad tysiąca mężczyzn i powiedziano, iż mężczyźni idą dla załatwienia formalności, że zaraz wrócą, po czym z rodzinami pojedziemy dalej. Grupa nie wróciła.

Później dowiedziałam się, iż tę grupę zatrzymano w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu jako więźniów. Mąż mój przebywał tam kilka tygodni, potem zatrudniono go w fabrykach, lecz także jako więźnia. Wieczorem w grupie 1200 kobiet wywieziono mnie do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. W grupie naszej zapłatała się grupa dzieci, których matki pozostały z naszą grupą, nie zgłosiły się na wezwanie w Oranienburgu, oraz kobiety w ciąży. W pociągu panował straszny tłok, ładowano ponad 60 kobiet do wagonu zamkniętego.

14 sierpnia 1944 rano przyjechałyśmy do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. W Oranienburgu eskorta się zmieniła. Eskorta, która z nami przyjechała, byli to kolejarze niemieccy. W Oranienburgu przydzielono nam SS-manów, przy czym od razu traktowano nas jak więźniarki – brutalnie i bez żadnych względów. Na placu apelowym spisano nas, przeznaczając numery zaczynające się od 50 000. Otrzymałam numer 51 688, matka moja nr 51 400, którego końcówki dokładnie nie pamiętam. Po kilku tygodniach wywieziono matkę do fabryki. Po powrocie do obozu otrzymała nr 71 000 z końcówką.

Zostałam przydzielona do baraku nr 21, gdzie na około tysiąc kobiet 40 było ciężarnych. Traktowanie ciężarnych było takie samo jak innych więźniarek. Tylko bardziej zaawansowane, od siódmego miesiąca ciąży, były zwolnione od pracy. W naszym bloku było około 14 dzieci. Skład osobowy zmieniał się: zdrowsze więźniarki wywożono do fabryki, przybywały nowe, utrzymywał się stan liczebny około tysiąca osób.

Wszystkie więźniarki w naszym obozie przechodziły przez badanie lekarskie, które decydowało, czy są zdolne do pracy. Wtedy zapisano, że jestem w ciąży. Przy pierwszym

badaniu lekarz (nazwiska nie znam) poinformował mnie, że kobiety ciężarne mają prawo otrzymywać podwójne porcje zupy. Praktycznie było to nieosiągalne, gdyż po rozdziale zupy nie zawsze starczało na dolewkę, poza tym dolewkę otrzymywały przede wszystkim protegowane sztabowych. Zresztą przy kotle panował nieznośny tłok i przepychanie się, a raz, gdy odważyłam się dobić do dolewki, zostałam oblana przez sztabową pełnym kubłem zimnej wody.

Przybywały ciągle nowe transporty z Warszawy. Pamiętam transporty z Żoliborza i ze Starego Miasta. Głód w obozie wzrastał się coraz bardziej, porcje zupy dawano coraz mniejsze, toteż nawet w blokach, w których były uczciwe blokowe i sztabowe, ciężarne dostawały dolewki coraz mniejsze i coraz bardziej chudły i traciły siły. Codzienne wielogodzinne stanie na apelu oraz częste całogodzinne stanie przed barakiem w kurzu i przy silnej operacji słonecznej na rozkaz blokowej, powodowało u ciężarnych puchnięcie nóg, bóle głowy i omdlenia. Spanie w dusznych, przepełnionych, ogromnie zawszonych i zapchlonych salach, po dwie na 60 – 70 centymetrowej szerokości pryczach, z przygodną – niejednokrotnie chorą – sąsiadką, niszczyło siły. Kompletny brak mydła, papieru, kąpieli, ciepłej wody dokuczał nieznośnie.

Około połowy września 1944 roku (daty dokładnie nie pamiętam), na trzy tygodnie przed porodem, zostałam wezwana wraz z kilkunastoma ciężarnymi Polkami i Rosjankami do rewiru szpitala, gdzie z polecenia władz obozowych pielęgniarka Niemka (nazwiska nie znam) zaproponowała nam usunięcie ciąży. Zapanowało milczenie. Widząc, że żadna z nas nie chce się dobrowolnie zgodzić, zaczęła namawiać: „ – Śmiało, nie żenujcie się, może któraś z was ma nieślubne dziecko lub ma już dużo dzieci”. Jedna z nas odpowiedziała, iż usunięcie ciąży w ósmym miesiącu grozi śmiercią operowanej. Na to Niemka odpowiedziała nam, że chyba lekarz niemiecki i pielęgniarka lepiej wiedzą, iż jest to nieszkodliwe nawet w ostatnim miesiącu ciąży. Milczaliśmy i odesłano nas do baraków.

6 października, po trzech godzinach stania na apelu, czułam się tak źle, że w południe odprowadzono mnie do rewiru nr 1. Trafiłam na przerwę obiadową i alarm lotniczy. Zostawiono mnie samą na korytarzu, gdzie wiłam się w bólach na podłodze. Po upływie godziny przyszła akuszerka i zabrała mnie na salę operacyjną. Akuszerką była Józefina Polinger zwana „Fine”, więźniarka rodem z Austrii, ciesząca się dobrą opinią. Wówczas podała mi swój adres: Greiss 33 bei Wolfsberg In Lawantal Kärnten Österreich. Sala operacyjna była nieźle wyposażona, ale warunki higieniczne były złe. Pielęgniarki więźniarki czyściły

i obcinały sobie paznokcie narzędziami chirurgicznymi. O godzinie 14.00 urodził się mój synek. Ważył przeszło 4 kg. Dziecko było zdrowe i ładne, tak że nawet naczelný lekarz raczył przyjść je obejrzeć.

Pierwsze trzy dni, tak jak inne kobiety po porodzie, leżałam na rewirze nr 1, gdzie były znośne warunki: osobne łóżka, poduszki, bielizna. Dzieci przynoszono do karmienia 3 – 5 razy dziennie, zależnie od humoru pielęgniarki. Jedzenie było skąpe i nieodpowiednie dla karmiących matek. Na przykład pierwszego dnia po porodzie przyniesiono mi pieprzny gulasz. Zjadłam wtedy kilka kartofli.

Po trzech dniach wyrzucano położnice do rewiru nr 11, który znajdował się na drugim końcu obozu. Trzeba było iść o własnych siłach, bez względu na ból i silne osłabienie. Na rewirze 11 panowały straszne warunki: barak był nieopalany, brudny, zawszony i pełen innych insektów. Leżały tam chore na wszystkie choroby nierozpoznane, także zakaźne, płucne, weneryczne. Dopiero po rozpoznaniu choroby, zakaźnie chore zabierano do właściwego rewiru. Po upływie trzech dni, po odbyciu połogu kierowano tu położnice. Chore leżały po dwie na łóżku, bez względu na rodzaj choroby. Niemowlęta miały osobny pokoik o wymiarach 2,5 na 4 metry. Leżały na dwóch łóżkach, ułożone w poprzek, przykryte wspólnym kocem. Potem dostawiono jeszcze dwa łóżka piętrowe, gdyż liczba dzieci wzrosła do pięćdziesięciu. Dozorowała wtedy dzieci Niemka, więźniarka imieniem Edith (nazwiska nie pamiętam) niemająca pojęcia o pielęgnacji noworodka. W pokoiku był piecyk żelazny do ogrzewania, ale paliło się w nim tylko wtedy, gdy dozorcą Niemka gotowała sobie potrawy z ukradzionych chorym produktów. Rozpalała go wówczas do czerwoności, otwierając szeroko okno, choć przy samym oknie stały łóżka z dziećmi. Na karmienie dziecka wolno było przyjść pięć razy dziennie. Godziny karmienia ustalała i przesuwiała dozorcą Niemka zupełnie dowolnie. W tym samym pokoiku, w którym leżały dzieci, lekarka laryngolog przyjmowała swoje pacjentki. Na noc zamykano dzieci na klucz, zostawiając je do rana bez żadnego dozoru, w nieopalonym zimnym pokoju (8 – 10°C). Z narażeniem życia wykradałam w nocy klucz, by zajrzeć do dzieci.

11 czy 12 października, pierwszy raz, gdy nocą weszłam do pokoju dzieci, po zapaleniu światła zobaczyłam wielką ilość insektów wszelkiego rodzaju (pluskwy, karaluchy, wszy), które łąziły po łóżkach, wlażyły w uszy i nosy dzieci. Dzieci leżały przeważnie nagie, gdyż wykopały się spod koca. Niektóre ssały sobie nosy, większość krzyczała z głodu i zimna, leżąc na mokrych, zanieczyszczonych pieluszkach. Widziałam u dzieci poważne rany na ciałkach.

Odtąd bywałam u dzieci potajemnie nocą, aż do śmierci mego synka w dniu 22 października 1944 roku, i zawsze zastawałam je w takim stanie, jak wyżej opisałam.

Wśród dzieci śmiertelność była znaczna. Jak później słyszałam, przy końcu listopada, przy przeciętnym stanie 50 dzieci doszło do ośmiu zgonów dziennie. *Oberschwester* odmawiała dawania lekarstw, nie pozwalała suszyć pieluszek, tak że suszono je ukradkiem na bloku zakaźnie chorych. W tych warunkach dzieci żyły kilkanaście dni, do miesiąca.

Mój synek zmarł po 16 dniach życia na zapalenie płuc. W czasie choroby 22 października 1944 r. zrobiono mu trzy zastrzyki z kamfory: jeden zrobiła przy mnie lekarka więźniarka Czeszka (nazwiska nie znam). Mówiła mi przy tym, iż robi zastrzyk z kamfory. Po zastrzykach widziałam, iż stan dziecka się pogorszył.

Przeciętnie raz na dwa tygodnie odbywał się apel generalny, który trwał nieraz cały dzień. Niemowlęta pozostawały w tym czasie zamknięte na klucz, bez pożywienia i dozoru.

W dziesięć dni po porodzie z 11 rewiru matkę bez dziecka odsyłano na blok, gdzie nie okazywano jej żadnych względów. Z braku zegarka pozostawała w ciągłym lęku, by nie przeoczyć godzin karmienia. Zbyt wczesne wstawanie, brak opieki lekarskiej, głód, zimno, przy tym brutalne traktowanie – niszczyło zdrowie. Przeżycia matek były straszne. Każda z nas widziała, jak dzień po dniu zmieniało się jej maleństwo. Zdrowa twarzą stawała się starczą, ciało pokrywało się krostami i ranami. Widząc inne dzieci, matka wiedziała, że jej dziecko tak będzie wyglądać za parę dni, a była zupełnie bezsilna, zależna od kaprysu zdenerwowanej dozorczyńni, więźniarki. Matki, których dziecko żyło około dwóch tygodni i były zdrowe, kierowano do pracy na wolności, pozwalano zabrać dziecko. Widziałam tylko trzy takie wypadki zwolnienia.

W końcu [mojego] pobytu w obozie zdarzyło się kilka wypadków wyreklamowania warszawiaków przez rodziny z Generalnego Gubernatorstwa, drogą starań u władz obozowych. Od lutego 1945 zaczęto zabierać warszawiaków na roboty w fabrykach. Przydzielano grupy do dyspozycji *Arbeitsamt*. Po dziesięciodniowym pobycie na rewirze 11, odesłano mnie do 20 bloku, po czym blokowa Mieczysława Jaroszówna zatrudniła mnie w kancelarii bloku.

Matkę moją wywieziono początkowo do fabryki zbrojeniowej w Altenburgu, po trzech tygodniach umieszczono ją w obozie w Ravensbrück, w bloku 28. Matka nie pracowała.

W bloku 28 były straszne warunki. Panował brud, robactwo i tłok. Więźniarki spały po trzy na pryczy, na gołych deskach. Rozdział żywności był nieuczciwy. 16 stycznia 1945 moja matka zmarła w wieku 57 lat. Była bardzo wycieńczona, dostała biegunki i, mając słabe serce, nie wytrzymała choroby.

W połowie lutego 1945 zostałam odesłana do obozu pracy w Basdorf w odległości 24 km od centrum Berlina, gdzie produkowano pociski V2 i samoloty. Zwolniono w tym czasie z obozu w Ravensbrück 150 więźniarek warszawianek. Zwrócono mi dokumenty i pozostałam do dyspozycji *Arbeitsamtu*. Po obozie koncentracyjnym obóz pracy wydał mi się ogromną zmianą na lepsze. Widząc, że ja i inne robotnice przybyłe z obozu wyglądamy jak cienie, robotnicy pomagali nam, dzieląc się żywnością, mimo iż tu także były ciężkie warunki. Zatrudniono mnie w lesie przy ścinaniu drzew, kopaniu rowów przeciwczołgowych, sprzątaniu baraków robotników itp.

21 kwietnia 1945 roku zostaliśmy uwolnieni przez wojska rosyjskie. 30 kwietnia wróciłam do Warszawy. Po trzech tygodniach przybył z Niemiec mój mąż, był ogromnie wyczerpany i chory.

Przeżycia obozowe zniszczyły moje zdrowie, wyczerpały nerwowo i fizycznie. W 1946 roku zaszłam w ciążę, przechodziłam ją bardzo ciężko. Mimo stałej opieki lekarskiej po pięciu miesiącach nastąpiło poronienie, przy czym stan był groźny.

Na dowód, iż byłam w ciąży w opisanym okresie, załączam zaświadczenie lekarskie dr. Jerzego Monsiorskiego z 15 kwietnia 1944 r.

Na tym protokół zakończono i odczytano.